

Kochany nie musi się bać

XXXIII Niedziela Zwykła

Czasem przychodzi taki moment w codzienności, kiedy coś ważnego doznaje w nas „wstrząśnięcia”. Nagle z jakiegoś skrawka rzeczywistości lub życia opada zasłona oczywistości. Wtedy dotykamy czegoś bezpośrednio, stajemy przed nagością prawdy, przed którą nie można się już ukryć lub zamknąć na nią oczy.

Mam na myśli modlitwę, którą jako prezbiter odmawiam od kilkunastu lat podczas mszy świętej. Jeszcze dłużej słucham jej jako szeregowy wierny. I dopiero od niedawna zaczyna docierać do mnie jej niesamowite przesłanie. Chodzi o prośbę, którą kierujemy do Ojca jako rozwinięcie Modlitwy Pańskiej. Pojawiła się w tym miejscu w V wieku, gdy Rzymowi zagrażały najazdy barbarzyńskie. Od tamtego momentu podczas każdej Eucharystii błagamy Boga tymi słowami: „Wspomóż nas w swoim miłosierdziu, abyśmy zawsze wolni od grzechu i bezpieczni od wszelkiego zamętu, pełni nadziei oczekiwali przyjścia naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa”.

Oświeciło mnie, że na mszy świętej „intensyfikuje się” nasze wspólne oczekiwanie na Pana. Zdecydowanie bardziej pragnie się Jego przyjścia, gdy czujemy się zagrożeni, osaczeni przez zło. Natomiast łatwo się o Nim zapomina, kiedy jest nam dobrze, bo wydaje nam się, że na ziemi stworzyliśmy sobie odpowiednik nieba. Ilu chrześcijan w naszym kraju myśli na co dzień o przyjściu Pana?

W słowach „pełni nadziei” odczytuję radość. Gdy mamy nadzieję, nie musimy się bać. I właściwie tylko grzech sprawia, że przyjście Pana kojarzy nam się z wizją surowego sądu. Albo po prostu w ogóle nie zaprzątamy sobie Nim głowy. Gdy w sercu rządzi „zamięt” i zniewolenie, wtedy nadzieja usuwa się w cień, nie dlatego, że Bóg się od nas odwrócił, ale ponieważ my poddaliśmy się lękowi. Ale jeszcze inna rzecz powoduje, że człowiek boi się przyjścia Pana, co zazwyczaj bywa matecznikiem wszystkich grzechów: nieświadomość wybrania.

W dzisiejszej Ewangelii św. Marek ogłasza, że na końcu Chrystus przyjdzie zebrać owoce, dokona żniwa, które dojrzało na ziemi. W przeciwieństwie do św. Mateusza, który już w przypowieści o pszenicy i chwacie zapowiada najpierw „spalenie chwastu w ogniu”, a dopiero potem „zwiezenie pszenicy do spichlerza” (Por. Mt 13, 41-42), Marek nic nie wspomina o bezbożnych, grzesznikach i ogniu. Pisze natomiast, że Jezus przyjdzie do „swoich wybranych”, którzy zostaną zebrani z całego świata. Podczas gdy u Mateusza Jezus nie każe przed czasem zbiorów wyrwać chwastów (synów Złego) i chronić pszenicę (synów królestwa), u Marka nie ma mowy o niszczeniu chwastów nawet podczas żniw.

Jesteśmy ludźmi nadziei, która już poniekąd się spełniła. Jako „silna kotwica duszy” (Hbr 6, 19) zakorzenia się w miłości Boga do nas. Jesteśmy wprawdzie w rozłące, ale to miłość Boga do nas jest gwarantem naszego spełnienia. Św. Tomasz z Akwinu precyzuje w Sumie teologicznej, że „wiara odnosi się do rzeczy niewidzialnych, nadzieja zaś do rzeczy nieposiadanych; miłość natomiast do tego, co już się posiada, gdyż to, co jest ukochane, jest poniekąd w tym, kto kocha. Kto zaś kocha, ten podlega przyciąganiu ku zjednoczeniu się z przedmiotem ukochanym”.

Ten opis „działania” miłości, zaczerpnięty po części z filozofii, jest niesamowity. Miłość zmierza najpierw do zjednoczenia, do wzajemnego zamieszkania jednego w drugim. Wszystko zaczyna się od pragnienia, czyni są tylko skutkiem. Nie można bowiem czynić dobra dla drugiego, jeśli się go jakoś nie kocha. Cieleśnym znakiem tak rozumianej miłości jest przytulenie dwojga ludzi, co najpełniej wyraża się w małżeńskim współżyciu. Człowiek żyje dzięki bliskości. Dlatego tak bardzo cierpi, jeśli tej bliskości mu zabraknie. Wszystkie uzależnienia aż krzyczą o tym braku.

Gdyby ten ruch miłości zastosować do samego Boga, to odkryjemy rzecz niewyobrażalną. Jeśli Chrystus kocha nas, to przyciąga Go w naszą stronę. Już od dawna, nawet przed stworzeniem świata, jak pisze św. Paweł, jesteśmy w Nim. A w chrzcie „zostaliśmy złączeni z Nim w jedno” (Rz 6, 5). Wybranie wiąże się z miłością, tyle że nie z naszą do Chrystusa, lecz Chrystusa do nas. Ruch miłości został zainicjowany na świecie przez Boga, nie przez nas. Na ziemi, a nie w niebie, zostaliśmy nazwani świątynią Ducha Świętego, nie symbolicznie, lecz realnie. To są najgłębsze podstawy naszej nadziei i czekania na Pana.

Czasem odnoszę wrażenie, że większym problemem w naszym Kościele jest nie tyle brak doświadczenia miłości Boga do nas, czy nasza odpowiedź dana Jemu, lecz najpierw nierozpoznanie tej miłości. Nie potrafimy kochać również z tego powodu, że nie rozpoznajemy tego, co w naszym życiu jest darem. Możemy bowiem doświadczać miłości i zupełnie jej nie dostrzegać.

W przypowieści o nielitościwym dłużniku czytamy, że człowiek, któremu król anulował niebotyczny dług, wcale się nie zmienił. Tuż po wyjściu z pałacu, zaczął dusić swojego wierzyciela i zażądał od niego zwrotu małej kwoty (Por. Mt 18, 27-28). Można i należy się dziwić, jak mogło do tego dojść. Jednym z wyjaśnień może być to, że po akcie ogromnej łaski nie padło z ust sługi słowo „dziękuję”, ponieważ on ciągle działał według zasady „wszystko ci oddam”. Choć pierwszym odruchem powinna być wdzięczność, to jednak sługa w imię sprawiedliwości, podszytej agresją, domagał się swojej „słusznej” należności. Otrzymany dar w ogóle nie zmienił jego mentalności zasługiwania.

Dopiero wdzięczność sprawia, że dar jest przez nas rozpoznany i w pełni przyjęty. Wtedy zaczyna nas wewnątrz przemieniać. Herman Hesse pisze w „Wilku stepowym” o „zardzewiałej lirze wdzięczności”. Tę cnotę opanowuje się podobnie jak sztukę gry na instrumencie. Różnica jest tylko taka, że wszyscy mają talent do wdzięczności. Być może za rzadko gramy na tej lirze duszy. Nie wiemy jak to robić, dopóki nie zaczniemy ćwiczyć, ale ponieważ nie ćwiczymy, odstawiamy ją jak stary grat na strych naszego serca. Dlatego tyle jest lęku i trosk nie tylko wśród niewierzących, także wśród chrześcijan. Dlatego dla wielu „koniec świata” to widmo końca ich małego światka, w którym króluje lęk o samego siebie i swoje własne zdobycze.

Dariusz Piórkowski SJ